

WŁADIMIROW.

Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

W tym celu było umówione między nimi, że w razie, jeżeli mistyfikacja będzie zdemaskowana, przerwą natychmiast druty telefonowe i sygnałowe, zapasowe rewolwery rozdadzą tym z uwięzionych, których zdążą przyprowadzić do kancelaryi i wspólnymi siłami napadną na administrację więzienia.

V. W kancelaryi więzienia.

W tym czasie baron Budberg wszedł do kancelaryi więziennej, podał rękę dyżurującemu pomocnikowi naczelnika więzienia, Maciulewiczowi, wręczył mu adresowany na imię naczelnika więzienia, zabezpieczony pakiet ze stemplem kancelaryi warszawskiego oberpolicmajstra, opatrzony kolejnym numerem dziennika ekspedycji, z pieczęcią lakową oberpolicmajstra.

Adres na kopercie napisany był na maszynie piszącej.

Wręczając ten pakiet, baron Budberg zapytał Maciulewicza:

— Czy wszystko gotowe do wyprawienia więźniów politycznych?

— Najmocniej proszę o wybaczenie — odparł tonem pokornego służbisty — pan rotmistrz będzie musiał chwilę poczekać; jeszcze nie wszystkie papiery przygotowane. Niech pan będzie łaskaw spocząć.

Baron rozgniewał się za tę zwłokę i tonem zwierzchnika powiedział:

— Przecież pana uprzedził oberpolicmajster, by na chwilę mego przyjazdu było wszystko gotowe. Dlaczegoż ta zwłoka? Czy zapomniałeś pan, jak trzeba wypełniać rozporządzenia władzy?

— Proszę o wybaczenie, panie rotmistrzu, upewniam jednak, że nie zawiniłem... skoro otrzymałem telefoniczny rozkaz jego ekscelencji, natychmiast siadłem do biurka przygotować papiery. Pan zabiera od razu tak wielu aresztantów, że nie miałem możliwości wypełnić wszystkich formalności kancelaryjnych w ciągu jakiejś pół godziny... pozostało mi tylko kilka papierów.

— Spiesz się pan, żebym długo nie czekał i wydać rozporządzenie wyprowadzenia aresztantów — łagodniej już powiedział baron Budberg.

Maciulewicz spieszenie wydał rozkaz kilku dozorców, sam zaś wziął się do pisania i jak służbista, surowo zmonitowany przez zwierzchnika, ułonił cały w papierach kancelaryjnych, obawiając się wywołać gniew rotmistrza.

I tak dalece zagłębił się w pracy, tak spieszył naprawiać służbowe uchybienie, za które natarto mu uszów, że nie zwracał już na nic uwagi i nie wdawał się w żadne rozmowy.

A o to właśnie chodziło rotmistrzowi Budbergowi.

Usiadł on swobodnie przy stole naprzeciwko Maciulewicza, powoli wydobył papierosnicę z bocznej kieszeni i zapaliki, zapalił papierosa, poczem nader uważnie rozejrzał się w około, zapamiętał rozkład drzwi, miejsce, gdzie znajdował się telefon miejski, wewnętrzna sygnalizacja i dzwonki.

Kancelarya mieściła się w niewielkim względnie pokoju, zastawionym wszędzie stołami, z brudną podłogą.

Baron Budberg oczekiwał spokojnie, nie okazując najmniejszego wzruszenia, lecz jednocześnie bacznie śledził każdy ruch Maciulewicza, szczególnie zaś wyraz jego twarzy.

Gdy Maciulewicz wziął do ręki otrzymany od rotmistrza pakiet, obrócił go w rękę, popatrzył na pieczęć i wreszcie otworzył, baron skupił na nim całą uwagę, usiłując z wyrazu jego twarzy wyczytać, czy w odezwie nie znalazła się jaka omyłka, czy zachowane w niej zostały ściśle i wiernie wszelkie subtelności kancelaryjne, czy nie nasunie mu się myśl, że wszystko to jest mistyfikacja.

W nagłówek odezwy był litografowany stempel warsz. oberpolicmajstra z kolejnym numerem ekspedycji; cała jej treść drukowana była na maszynie, następnie szły podpisy: oberpolicmajstra naczelnika kancelaryi i sekretarza.

Odezwa nakazywała naczelnikowi więzienia śledczego wydać okazicielowi pakietu, oddzielnego korpusu żandarmerii rotmistrzowi von Budbergowi, dziesięciu więźniów, z wymienieniem ich nazwisk i imion, oraz z dokładnem wyszczególnieniem z czyjego rozkazu każdy z nich został uwięziony i w rozporządzeniu jakiej władzy pozostaje.

Przeczytawszy ten nakaz Maciulewicz zrobił uwagę:

— Rzecz szczególna, doprawdy, oberpolicmajster daje rozkaz, abym panu wydał więźnia N., a tymczasem mam inne rozporządzenie, które otrzymałem dnia dzisiejszego, żebym wysłał go do gmachu sądu wojennego, gdzie ma być obecny przy roztrząsaniu sprawy. Nic nie rozumiem! Cóż teraz zrobić?

Baron drgnął... nie wiedział on, że o jednym z więźniów wszczęto konferencję, by go przenieść gdzieś indziej. Niemila ta okoliczność mogłaby zepsuć całą sprawę, gdyby Maciulewicz nie był tak przełknięty surowością rotmistrza.

— Tak, wiem o tem... wezmę go z sobą i oddam kancelaryi cytadeli, żeby stamtąd wyprowadził go do sądu... Kończ pan przedzej...

— Jak pan każe — zgodził się Maciulewicz pokornie i znów utonął w papierach.

Sprawdził on skrupulatnie wszystkie nazwiska z rozporządzeniem uprzednio otrzymanem przez telefon, a przekonawszy się, że niema pomyłki, zaczął pisać.

Upływały długie chwile trwożnego oczekiwania... Baron liczył je z niecierpliwością, tłumiąc w sobie silne wzruszenie, gdyż wiedział, że każda minuta zwłoki może zaważyć na szali ich życie.

Paląc papierosy jeden za drugim, całą siłą hamując w sobie straszne napięcie nerwów.

Martwa cisza panowała wokoło...

Z poza grubych drzwi żelaznych, wiodących z kancelaryi do więzienia, nie dolatywał najmniejszy szmer. Nic nie zdradzało jakichkolwiek przygotowań do wyprawienia więźniów, którzy lada chwila powinni być dostawieni do kancelaryi.

Ta przygniatająca cisza, senny spokój więzienia, przytłaczały barona; w duszy jego wszystko wrzało, wstał, żeby przejść się po pokoju.

Maciulewicz podniósł głowę, spojrzął w stronę rotmistrza i odezwał się nieśmiało:

— Żeby pan wiedział, panie rotmistrzu, jaką męką jest służba przy takich porządkach. Więzienie przepełnione, co mówię — przepełnione — po prostu nabite w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Napchano aresztantów dwa razy tyle, na ilu jest miejsce; stąd też wynikają różne nieprzyjemności, pretensje... Nie jesteśmy w możności spełnić ich żądań, a z drugiej strony władza wymaga najściślej wykonywania przepisów, a i aresztanci — lud niespokojny... same tylko nieprzyjemności... to nie służba, ale katarga.

— W takim razie powinien pan być bardzo zadowolony, panie Maciulewicz, że zabieram od pana tak wielu aresztantów i jeszcze tak niebezpiecznych — powiedział baron z pewną ironją w głosie.

— Zapewne, ale co to znaczy dziesięciu ludzi, gdy chodzi o setki więźniów przepełniających więzienia... ot, gdyby pan zwrócił na to uwagę władzy i gdyby zechciała ona to uwzględnić... lepiej byłoby żyć...

W tej chwili odsunęła się ciężka zasława drzwi żelaznych, wiodących do więzienia; baron zwrócił się z miejsca i skierowawszy wzrok w tym kierunku, czekał z niecierpliwością.

Drzwi otworzyły się, na progu ukazał się starszy dozorca i zwracając się do dyżurnego, raportował:

— W tej chwili będą wyprowadzali aresztantów. Wszystko gotowe.

VI. Nieszczęśliwy skazaniec.

Dnia tego ciężkie chwile przeżył M. jeden z więźniów. Rano do jego ciasnej, maleńkiej celi przyszedł w całym swym blasku jenerał, jeden z członków sądu wojennego i uroczyście wręczył mu akt oskarżenia, z art. 273, grożącego mu karą śmierci. Widok tego sytego jenerała, pełnego zadowolenia, jego mundur błyszczący, ugrzeczniona mowa przy okrutnych i niesprawiedliwych słowach aktu oskarżenia, wywarły na nieszczęsnym młodzieńcu przynębiające wrażenie; chwilami zdawało mu się, że to był przebrany kat, który przyszedł z zamiarem pastwienia się nad nim i męczenia swej ofiary. Zapowiedź, że grozi mu kara śmierci uderzyła go, jak grom; nieoczekiwał tego, gdyż był zupełnie niewinny, nie wiedział i nie rozumiał za co mogli go skazać na karę śmierci?

Przedtem wręczony mu był inny akt oskarżenia, z następstwem kary niewielkiej. I teraz nagle taka zmiana.

— Dlaczego? Jaka przyczyna? — gubił się w domysłach.

Po wyjściu jenerała w padł w straszny rozstrój nerwowy, długo chodził z kąta w kąt po swojej celi, opuściwszy głowę. Niekiedy z piersi jego rwały się krótkie oderwane zdania, jakby odpo-

wiedzi samemu sobie, na męczące go pytania. Po dniecenie jego rosło.

Zmęczona wyobraźnia nasuwała mu ponure obrazy: zdawało mu się, że wyrok już zatwierdzono i lada chwila czeka go kaźń... Z oczyma palającymi zatrzymywał się w pośrodku swej celi i zamierzając sercem wsłuchiwał się w najłżejsze szmery, idące z kurytarza, starał się rozróżnić kroki, zbliżające się do drzwi...

Z każdą chwilą oczekiwał, że oto otworzą się drzwi i na progu ukaże się czerwona figura kata...

Oczekiwanie to męczyło, go jak zmora.

Lepiej skrócić, przerwać te straszne męki, lepiej samemu rzucić się w objęcia śmierci, niż czekać na nią z pokorą.

I nie mógł znieść tej męki. Wyczekawszy chwili, gdy szpiegowskie „oko“ we drzwiach przymknęło się, młodzieniec chwycił drżącymi rękami prześcieradło i skreślił z niego sznur, którego jeden koniec przywiązał do kraty okna, a z drugiego zrobił pętlę, zacisnął ją na szyi i zawisł...

W tej chwili z lekkim szmerem otworzyło się „oko nadzorcze“... drzwi naraz szumnie się rozwarły; wyleknioty dozorca więzienny wpadł do celi i zdjął nieszczęsnego z pętli śmiertelnej. Złożono go na tapczanie, zawiadomiono naczelnika więzienia, zdwojono nadzór.

Długo leżał na tapczanie, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w jeden punkt. Leżał nie czując, nie myśląc. Stracił świadomość tego, co go otaczało. O zwykłej godzinie przyniesiono mu obiad. Nie tknął go. Wieczorem przynieśli mu czajnik z wrzątkiem, zaproponowano naparzyć herbatę — odmówił. O 10-ej wieczorem administracja więzienia, obchodząc więźniów, weszła do jego celi: on wciąż leżał obojętny, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje?

Przyszła noc... zaczął drzeć na pół leżąc na tapczanie. Sen złagodził jego cierpienia, zatarł w jego pamięci wszystko, co było męczące i straszne, a co przeżył w tym dniu fatalnym; w czarownych rojeńkach roztoczył przed nim inne obrazy, radosne; w jego zgorączkowanym mózgu powstały jak żywe, wspomnienia drogich lat dziecięcych.

Za drzwiami zaskrzypiała zasława żelazna. O zwał się ostry metaliczny dźwięk drzwi otwieranych, na progu stanął starszy dozorca więzienny, żołnierz z karabinem i kilku innych dozorców w głębi.

Starszy dozorca, zwracając się do więźnia, powiedział tonem suchym:

— Zbierz pan swe rzeczy i wychodź.

Zerwał się naraz z tapczanu, usiłując oprzytomnieć, gdzie jest? Co to za ludzie i czego chcą od niego? Otrząsnawszy się z rojeń sennych, zrozumiał, że to kaci, którzy go poprowadzą na kaźń, na szafot i z piersi jego wyrwał się jęk rozpaczny: — Za co?

Nie było wątpliwości, że prowadzą go na kaźń. Gdzieżby indziej w tak późną noc; niebawem świtać zacznie... Dozorca milczał: wyraz jego twarzy był chłodny, obojętny jakby drewniany. Widząc jednak powolność ruchów więźnia, zaczął go gniewnie pobudzać, mówiąc, że oczekują go w kancelaryi.

Nieszczęsny młodzieniec... domyślał się on, że tam, w kancelaryi, czeka go kat w czerwonej koszuli, czarna kareta, zwiększony konwój... a tam... śmierć!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, poszedł za strażnikami więzienia.

Wyszedłszy do kancelaryi, zobaczył kilku innych więźniów, których zapewne oczekiwał taki sam los opłakany. Tu znajdowała się i straż więzienna i oficer żandarmski.

Ten ostatni od razu zwrócił uwagę na tego blado, zmieszanego młodzieńca, zrozumiał jak wiele przeżył on w ciągu ciężkich chwil oczekiwania śmierci.

VII. Piekło niepewności.

Wprowadzono innych aresztantów i niewielki pokój kancelaryjny stawał się coraz ciasniejszy.

Baron Budberg z niecierpliwością oczekiwał, kiedy nareszcie skończą się te przygotowania i pilnie śledził za niemi.

Na twarzach wszystkich więźniów wypisane było wzruszenie trwożne: gubili się w domysłach, dlaczego wyciągnięto ich z cel więziennych, w noc tak późną i dokąd ich wieść zamierzają?

Gdyby tylko miano ich przewieźć do innego więzienia, to można byłoby zrobić również dobrze to we dnie, a nie nocą. Dlatego można przypuszczać, że wywożą ich teraz w innym celu, być może na miejsce kaźni?

(Ciąg dalszy nastąpi)